

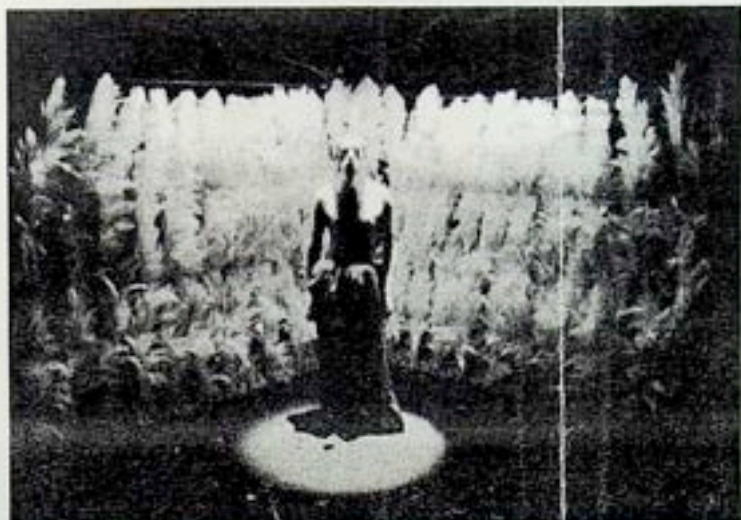
LESZEK MĄDZIK

W BWA kolejna bardzo istotna wystawa - niezastąpionej szefowej, Hannie Waloch, udało się zwabić Leszka Mądzika (Bogiem a prawdą - tak bardzo się nie opierał...). Zawsze dobrze robi na lokalną próżność i bardzo jest miłe, gdy do Zakopanego zawita ktoś naprawdę wybitny, a przy okazji znany i uznany w skali nie tylko kraju i nie tylko kontynentu. Kreator, Szef i Pan Absolutny Sceny Plastycznej KUL (inaczej być nie może, istnieje ona bowiem jedynie jako medium jego sztuki), pokazał - w sztalarzu kilku elementów scenografii - fotograficzną dokumentację swojej twórczej wędrówki. Oczywiście, najlepsze nawet zdjęcie nie jest w stanie oddać - już nie to, że przestrzeń - ale światła, dźwięku, ruchu, a nade wszystko czasu, z których Mądzik buduje swą plastyczną wizję, a jednak to, co udało się zapisać w fotografiach, zdaje się być zadziwiająco pełne, zadziwiająco bliskie światu, jaki Leszek wywodził z MROKU (taki tytuł nosi cała wystawa). To są fotografie znakomite, daleko wykraczające poza dokumentacyjną wierność, godzi się więc wymienić współautorów wystawy: Stefana Ciechana (od początku zajmującego się fotografowaniem Sceny Plastycznej, rozumie się tedy samo przez się, iż obecny był na wernisżu), oraz Andrzeja Johna. Ekspozycję dopełniają plakaty wystaw, bliskich Mądzikowi artystów - zarówno żyjących, jak i nie żyjących - których prace pokazywane były w istniejącej od dziesięciu lat przy Scenie Plastycznej galerii. Konia z rzędem temu, kto pokaże mi w Polsce drugie miejsce, które pochwalić się może równie znakomitym zestawem nazwisk. Wieczorem, dzięki życzliwości Andrzeja Dziuka, Scena Plastyczna pokazała w Teatrze Witkacego powstałe w 1992 roku „Tchnienie” - spektakl, na którym mieści się jednorazowo około pięćdziesięciu osób. Jako że grany był dwukrotnie, jedynie około stu uprzywilejowanych mogło zobaczyć, na czym naprawdę polega niezwykła sztuka Leszka Mądzika - wystawa bowiem jest, siłą rzeczy, tylko o niej opowieścią.



Zwykło się Scenę Plastyczną łączyć z dziedziną teatru, ale przecież jedyny w miarę sensowny spór o to, do jakiej wtłoczyć ją szufladki, mógłby ewentualnie mieć miejsce w czasie

obrad jakiegoś jury, które zastanawiałoby się, w której z kategorii przyznać jej nagrodę. Sztuka Mądzika, to sztuka osobna, autonomiczna, nie tyle może synkretyczna, ile dyskretnie totalna.



TCHNIENIE

Początkowo zamierzałem pisać przede wszystkim o „Tchnieniu” - wysublimowanym, „czarno-białym” spektaklu, w którym dzieją się osobliwe rzeczy ze światłem, przestrzenią i czasem. Ale nie będzie o „Tchnieniu” - tego przecież i tak nie da się opisać. W ogóle nie chcę, nie potrafię pisać o kształcie, w jaki Leszek Mądzik potrafił zakląć swoją sztukę - chciałbym napisać o mojej osobistej przygodzie, będącej skutkiem jego czarodziejskich umiejętności. Wiele o Leszku pisano - opisano historię teatru, ewolucję artysty (który zresztą niekiedy, acz rzadko - stroni bowiem od pustej teorii - posługuje się i słownym autokomentarzem); mniej lub bardziej przekonująco wiązano jego sztukę z rozmaitymi źródłami, czy też odczytywano jej przekaz. Myślę zresztą, że - paradoksalnie - z natury swej zmysłowe, dalekie od intelektualizmu dzieło Leszka Mądzika zdaje się kusić do rozmaitych spekulatywnych analiz i prób wprowadzenia weń jakiegoś porządku. Oparte na szacownych archetypach, uwikłane w rzeczy naprawdę istotne, w rzeczy ostateczne (zda mi się przy tym, że Leszek zawsze jednak mówił o wiele więcej o narodzinach i trwaniu niż o eschatologii czy teleologii), z drugiej zaś strony ogromnie ciekawe plastycz-

nie, formalnie precyzyjne, pozornie coraz prostsze, a jednocześnie - przynajmniej jeśli idzie o racjonalną techniczną - coraz bardziej złożone. Czegóż więcej trzeba do szczęścia badaczom? Być może zresztą dzieło to tym bardziej kusci, że jest nieopisywalne, że - jak w każdej wielkiej sztuce - nie da się oblaśkawić jego tajemnicy. Mnę też srodze wiodło na pokuszenie - mimo, że nie badacz, a i rozum nie ten. Chodził mi po

głowie Platon i Plotyn, a tymczasem oglądając - jeszcze w trakcie urzędowania wystawy - fotogramy, nie wiedząc skąd, pomyślałem nagle o fotoplastikonie. Szczerze się przeraziłem, że to demencja starcza albo i schizofrenia - bo jakże to tak? Co nieboszczyk fotoplastikon - tak niegdyś chętnie przywoływany jako przykład płaskich gustów gawiedzi - może mieć wspólnego z oprawną w kunsztowną formę, kipiącą od

znaczeń, niepokojącą, jedyną w swoim rodzaju artystyczną wizją z najwyższych regionów wysokiej sztuki? A jednak po chwili zrozumiałem, że to, co mi się przydarzyło, jest właśnie świadectwem niezwykłej siły, niezwykłej uniwersalności tego, co uczynił Leszek. Fakt, że doskonale fotogramy doskonale skończonego dzieła nie kazały mi myśleć o arcydziełach, tylko przywołały w mej pamięci zakurzony zapach, jaki panował niegdyś w mrocznym lokaliku przy Krupówkach (a już wtedy był to zapach czasu nawet nie przeszłego, tylko zaprzeszłego, który nie potrafił się dokonać), świadczy właśnie o wielkości jego sztuki. Może w tym, że zamiast kombinować o wpływach Szajny na „wczesnego Mądzika”, zobaczyłem znowu oczami duszy porysowane klisze z koronacji Elżbiety II i wyborów Miss Universum, było coś podświadomie wiążącego się z techniką prezentacji spektaklu, bo - toutes proportions gardées - coś łączy teatr Leszka z (przynajmniej tak, jak postrzegało to dziecko), magią fotoplastikonu, ale myślę, że najistotniejsze w tym wszystkim było co innego - nagle połączenie się w jedno *sacrum* i *profanum*. Nawiasem mówiąc, często zapominamy, że nie są to - wedle teologii katolickiej - pojęcia przeciwstawne (ktoś zresztą pisał o tym w związku z leszkową sztuką). To wygląda paradoksalnie, że można poczytać za zasługę kulturze „wysokiej” przypomnienie o kulturze „niskiej”, jarmarcznej. Może się to wydać tym dziwniejsze, że Mądzik, w odróżnieniu na przykład od Kantora, nie posługuje się ostentacyjnie atrybutami zapożyczonymi z rekwizytorni tej drugiej - wręcz przeciwnie: wyszukany świat jego form jest jak najdalej od banalności, nie wspominając już o kiczu. A jednak, taki

- nie zamierzony zapewne przez autora - efekt, nauczył mnie czegoś niezwykle ważnego - przypomniał mi, że świat jest tą samą całością, niezależnie od tego, czy spoglądamy nań z góry, czy z dołu. Przedziwnie klarowne, choć bynajmniej nie jednoznaczne spektakle Mądzika przypominają nam o harmonii świata. Po wielokroć pisząc o nim posługiwano się pojęciem demiurga, ja chciałbym tu przywołać na pomoc logos. Nie - rozmaicie rozumiany i personifikowany - Logos teologiczny, tylko metafizyczny logos - „rozum świata” - tak, jak pojmował go Heraklit; logos - się zdolną łączyć wrogie sobie przeciwieństwa w harmonię natury; logos, dzięki któremu mogą współistnieć światło i ciemność, życie i śmierć, to, co wzniosłe i to, co nikczemne. Otóż Mądzik - jako jeden z nielicznych artystów - posiadał władzę nad logosem.

Wydaje mi się, że Leszek - coraz bardziej się samoograniczając, na samym już początku porzuciwszy słowo, a potem odchodząc od kolorów, kontrastów i efektownych chwytów - konsekwentnie zdążyła ku jakiejś absolutnej formie, która objąć ma samą zasadę naszego istnienia. Naszego codziennego istnienia. To nie jest sztuka z zaświatów - jeżeli mówi o Bogu, to o jego obecności po tej właśnie stronie. To nie jest również teatr oniryczny - wbrew temu, co można by sądzić z pozorów, to nie jest teatr snów. W świecie, w którym czujemy się niepewni, w którym panowie Darwin, Einstein, Freud, Marks i wielu innych (pomijając już rozmaitych upiornych praktyków) podważyli tak wiele, niekiedy właśnie sztuka może pomóc odnaleźć wiarę w sens. Dziękuję, Leszku.

Wawrzyniec Brzozowski*

1. TYGODNIK

PODHALAŃSKI

nr 11 (324)

17. III. 1996